

Raj skazańców

7 września 2014

Australia to „Republika Złodziei”. Kraj zbudowany przez przymusowych imigrantów, którzy nie chcieli zawędrować na Antypody, ale musieli to zrobić. To jeden z powodów, dla których do dziś jest to miejsce wyjątkowe. Już choćby przez to, że jest to jeden z nielicznych krajów, gdzie politycy kłócą się nie tylko o to, jak imigrację ograniczyć, ale też jak ją zwiększyć.

Proces karny w Anglii rządzonej przez kolejnych Jerzych miał tylko niewiele wspólnego z tym, jak to wygląda dzisiaj. Orzekanie w jednej sprawie trwało zwykle ok. kwadransa i przynosiło jeden z trzech wyroków: więzienie, śmierć lub zesłanie. Czasami jeszcze delikwenta uniewinniano, ale to działo się dość rzadko. Bardzo często za to, bo mniej więcej w co ósmej sprawie, decydowano o powieszeniu. Wielu skazanych wysyłano do więzień. To generowało problemy dla państwa, które musiało utrzymywać budynki i zachować pozory, że nie daje skazanym umrzeć z głodu. Dlatego przyszedł moment, w którym postanowiono wykorzystać rozwijające się amerykańskie kolonie, z ich pomocą pozbyć się nieco zbędnego balastu i jeszcze na tym zarobić.

Skazańców zaczęto sprzedawać do pracy na plantacjach Virginii. Choć by być dokładnym to sprzedawano nie ich, a ich pracę na czas zasądzanego wyroku. Była to kara lepsza niż śmierć, choć końca odsiadki doczekał zaledwie co drugi z „wyeksportowanych” przestępców. Ciekawostką jest to, że byli wśród podsądnych też tacy, którzy – o ile tylko było ich na to stać – sami kupowali się do pracy w USA i po przybyciu tam urządzali sobie długie wakacje lub osiedlali się i włączali w budowanie nowej republiki. Interes kręcił się pomimo narzekania samych kolonistów, którzy grzmieli (pamiętajmy, że Stany to kraj założony przez purytanów, których w Europie nikt już nie mógł znieść): „Ameryka stała się zwyczajnym ściekiem i szambem

dla Brytanii". Jednak przestał się kręcić, kiedy w XVIII wieku wybuchła tam rewolucja, kolonie wypowiedziały posłuszeństwo, a nowe państwo przestało przyjmować kryminalistów napływających dotąd szerokim strumieniem.

PIERWSZA FLOTA

Ci szybko zatłoczyli brytyjskie więzienia tak, że przestali się w nich mieścić. Kogo się dało – wypuszczano. Ale wszystkich wypuścić się nie dało, ponieważ przeciwko zwalnianiu skazanych protestowano. Tymczasowo problem rozwiązały zamienione na areszty hulki. Jednak i te oprotestowano, już choćby dlatego, że choroby rozprzestrzeniały się tam z wielką łatwością, a z okrętów trafiały do miast. Zresztą i bez protestów nie mogły wystarczyć, bo do Wielkiej Brytanii wracali właśnie weterani armii, która przegrała wojnę z amerykańskimi kolonistami i rzadko zachowywali się jak przystało na dżentelmenów. Do tego dochodziły społeczne skutki nowej polityki prowadzonej na angielskiej wsi. XVIII wiek był bowiem czasem, w którym postępowały tak zwane „grodzenia”. Gminne grunty, od wieków użytkowane wspólnie, „okazywały się” własnością prywatną dużych posiadaczy ziemskich i zamożniejszych farmerów. To podkopywało możliwość utrzymania się z ziemi tych biedniejszych i spowodowało masową migrację do miast. Tam jednak nie było pracy dla wszystkich i wielu z tych ludzi musiało kraść. Za kradzież karano wtedy srożej niż np. za zabójstwo dokonane w bójce, więc nie było gdzie zmieścić skazanych.

Mówiąc krótko: trzeba było znaleźć nową metodę pozbywania się więźniów. I znaleziono. Nazywała się: „Nowa Południowa Walia” i ledwie kilkanaście lat wcześniej została odkryta dla Europy przez Jamesa Cooka. Plus miała też taki, że uznano, iż miejscowi to nomadzi, którzy się nie liczą i nie należy się nimi przejmować, a więc jest to ziemia niczyja. Jako taka miała wkrótce stać się własnością korony brytyjskiej. Początkowo jako kolonia karna.

Pierwsze statki ze skazańcami dopłynęły tam w 1788 roku. Wiozły ludzi, którzy mieli całkowicie zmienić charakter zasiedlonego przez Aborygenów kontynentu, zabrać ziemię jego tubylczym mieszkańcom, doprowadzić do drastycznego zmniejszenia ich populacji i całość zamienić w leżący najdalej od Europy „europejski” kraj. Była to tzw. „Pierwsza Flota”, którą kierował kapitan Arthur Phillip. Na pokładach, a raczej pod pokładami, kilkunastu statków znajdowała się niezła mieszanka. Większość ludzi pochodziła z północnego Londynu. – Byli ze Stepney, Poplar, Clerkenwell, St. Giles’s i Seven Dials, Soho – wymieniał Thomas Keneally we wspaniałej „A Commonwealth of Thieves”.

Nadreprezentowane było zwłaszcza St. Giles, które uważano wtedy za londyńską republikę złodziei, bo było to królestwo zamieszkane przez mających własny język (tzw. cant lub flash) kieszonkowców i innych przestępców. Była to wariacja angielskiego, której „dobrze wychowani” nie mogli zrozumieć. Nawiasem mówiąc stąd wzięło się np. słowo pal, które oznaczało pomocnika kieszonkowca. To właśnie mówiący „cantem” zaczęli też nazywać Bow Street Runners, czyli służbę będącą czymś w rodzaju ówczesnych policjantów, mianem pigs.

Na statki płynące do Australii trafiło ponad 1000 marynarzy i skazańców. Wśród nich było kilkaset kobiet, a na listach pokładowych widnieją także dzieci. Jednym z nich był 13-letni John Hudson, którego skazano cztery lata wcześniej za kradzież jednej koszuli i kilku sztuk bielizny. Większość zesłańców to byli drobni złodzieje lub oszuści. Zdarzały się prostytutki, które okradły klientów. Byli też ludzie, których winą było to, że uciekli z transportów do Ameryki, albo wrócili z niej pomimo wyroku. Trasę zaplanowano przez Wyspy Kanaryjskie, Rio de Janeiro i Kapsztad. Zwłaszcza w Rio okręty zostały przywitane z wszystkimi honorami, bo wyprawa do Nowej Południowej Walii, czy jak nazywano ją w Ameryce łacińskiej Nowej Holandii, robiła wrażenie.

Przed podróżą najbardziej obawiano się o zdrowie załogantów i

skazańców. Obawy budził przede wszystkim skorbut, którego przyczyn jeszcze wtedy nie znano. Co bardziej porządni z oficerów mieli też obawy dotyczące obyczajności na statkach, które zresztą znalazły potwierdzenie, bo marynarze chętnie korzystali z wdzięków uwięzionych kobiet, które – ponoć – też nie stroniły od ich towarzystwa. To jednak, pomijając kilka nowych chorób u załogantów oraz całkiem sporą liczbę cięż, wyprawie nie zaszkodziło. Za sprawą Phillipa, który zadbał o statki oraz ekwipunek ponad siedmiomiesięczna podróż przez pół świata zakończyła się zaledwie kilkudziesięcioma zgonami, co uznano za doskonały wynik.

Do celu dopłynięto w styczniu 1788 roku. Zaraz potem doszło do pierwszych kontaktów z Aborygenami, którzy pomijając krótki kontakt z Cookiem i sporadyczne relacje z mieszkańcami pobliskich wysp oraz Azjatami, żyli w niemal całkowitej separacji od innych ludzkich społeczności. I to od mniej więcej 50 tys. lat, czyli czasu, kiedy w Europie trwała epoka lodowa, wciąż żyli jeszcze Neandertalczykowie, którzy mieli zresztą przetrwać jeszcze kolejne 20 tys. lat. Nietrudno wyobrazić sobie, jakim szokiem musiało być dla nich nagłe pojawienie się kilkunastu okrętów z brytyjskimi skazańcami. Ludźmi mówiącymi innym językiem, ubierającymi się zupełnie inaczej i wyglądającymi inaczej. Wersji przedstawiających te pierwsze kontakty jest kilka, a jedyne co w nich pewnego to kilka anegdot. Takich np. jak ta, że tubylcy nie byli w stanie rozpoznać płci przybyszów, bo ci wyglądali jak mężczyźni, ale... nie mieli zarostu. I tych opowiadających o tym, jak Aborygeni chcieli się za wszelką cenę pozbyć przybyszów.

REPUBLIKA ZŁODZIEI

Jednak nic nie pomagało, a Anglicy nie zamierzali odpłynąć. Mieli ambitny plan zbudowania największego zakładu penitencjarnego świata: Australii. Jedno czego potrzebowali to miejsca lepszego niż Botany Bay, ale to znaleźli w kilka dni, bo niedaleko znajdowała się Zatoka Sydney. Zdecydowano, że pierwsze miasto-więzienie powstanie właśnie tam. Już 26

stycznia 1788 roku (ten dzień stał się później świętem narodowym Australii) Phillip oficjalnie objął we władanie Nową Południową Walię, choć jej dotychczasowych mieszkańców nikt o zgodę nie zapytał. Postawiono przywieziony z Anglii w częściach dom dla kapitana oraz namioty dla reszty. Tak powstało Sydney.

Kilkanaście dni później, 8 lutego, wszyscy znaleźli się na lądzie i... zaczęły się bachanalia, które miały się nieco przeciągnąć. Pito. Cieszono się. Nie obeszło się bez – jak pisali ówczesni – „połączenia płci”, które doprowadziło do kilku małżeństw i znacznie większej liczby ciąż. Szybko zaczęły się też problemy. Więźniowie rzadko posiadali umiejętności konieczne do zbudowania nowej kolonii. Praktycznie nie było wśród nich budowniczych i rolników. A nawet jak byli, to i tak nie od razu potrafili sobie poradzić w zupełnie innym klimacie. Warunki były fatalne, a Sydney uratowały zewnętrzne dostawy. Mimo to za pierwszą falą skazańców popłynęły kolejne. Do zwyczajnych przestępców dołączyli „polityczni”. Po 1789 roku co piąty „imigrant” był Irlandczykiem, bo Wielka Brytania chciała uspokoić podporządkowaną wyspę i usuwała „buntowniczy element”. Wraz z nimi zaczęli też przybywać pierwsi wolni osadnicy.

W ciągu kolejnych lat kolonia szybko się rozrastała. Mimo to nie straciła swojego charakteru Republiki Złodziei. Miejsca, gdzie ludzie gdzie indziej przegrani mogli spróbować zacząć nowe życie. Już choćby dlatego, że każde chętne do pracy ręce były na wagę złota. Jej wzrostu nie zatrzymały nawet liczne problemy, wśród których na pierwsze miejsce wybijał się regularnie powracający głód. A nie bez znaczenia była też demografia. Jeszcze na początku XIX wieku kobiety stanowiły ledwie 20 proc. wszystkich kolonistów. To powodowało konflikty, ale i to, że w cenie była prostytutka. Jedynym zagrożeniem, którego przybyszom udało się uniknąć byli Aborygeni. Nie dlatego jednak, że ci ze spokojem patrzyli na to, jak ktoś odbiera im ich ziemię. Dlatego, że starym

europejskim zwyczajem „zdobywcy” przywieźli ze sobą wirusy i bakterie. Efektem było to, że populację miejscowych zdziesiątkowała ospa, odbierając im możliwość stawiania skutecznego oporu.

BARDZIEJ BRYTYJSKA NIŻ BRYTANIA

Tak zaczął się kraj, który do dziś stanowi jeden z – włożę to jednak w cudzysłów – „rajów” dla imigrantów. Charakter Australii, kraju długo uważającego się za na wskroś europejski, ale leżącego tak daleko od Europy jak to tylko możliwe, spowodował, że przez lata z radością witano tam imigrantów ze Starego Świata. Tak było w wieku XIX. Tak było też w XX, kiedy rządzący kontynentem politycy uznali, że największe zagrożenie dla niego stanowi ludnościowa presja Azji oraz możliwość inwazji ze strony Indonezji i postanowili zniwelować demograficzną różnicę szeroko otwierając drzwi dla Europejczyków, których przybyło tam wtedy kilka milionów.

Jeszcze w latach 70. opisywano Australię jako bardziej brytyjską niż Brytania. Później, przynajmniej częściowo, zaadaptowano tam jednak politykę multikulturalizmu i dziś można tam naliczyć imigrantów z 200 krajów. Choć i tak przeważają pochodzący z Europy. Szczególnie dużo jest Anglików oraz Włochów, ale nie brakuje też Polaków. Osób o polskich korzeniach jest tam 160 tys. i wciąż przybywają nowi. Nadal jest to bowiem kraj otwarty dla przybyszów. Wystarczy powiedzieć, że tematem kampanii wyborczych bywa tam to, jak imigrację zwiększyć, a nie ją ograniczyć. – Mój instynkt każe, by wolność i korzyści z życia w Australii stały się udziałem tak wielu ludzi, jak to możliwe – mówił podczas jednej z nich Tony Abbot będący wówczas liderem opozycji. Ciągle żywa jest też, związana z azjatyckim zagrożeniem, idea Wielkiej Australii, która zakłada, że do 2050 roku należy niemal dwukrotnie zwiększyć populację ludzi zamieszkujących kontynent. Oprócz poczucia zagrożenia powodem jest oczywiście to, że nieustannie potrzeba tam rąk do pracy. Jest to też wszak kraj niezwykle bogaty, przede wszystkim dzięki surowcom,

wśród których – to może posłużyć za przytyk do autorów polskiej transformacji – ważną rolę odgrywa... węgiel. Oznacza to, że dziś żyje tam zaledwie 22 mln ludzi. W 2050 roku ma ich być 36 mln.

Może warto skorzystać?

Autor: Tomasz Borejza

Źródło: [eLondyn](#)